

OKRUCHY WSPOMNIEŃ DO ROKU 1946



Wiatraki w Izbicy Kujawskiej , których już nie ma.

Układ graficzny i opracowanie komputerowe

A jednak ku naszej radości
i przeciw przemijaniu
wspomnienia przechodzą na pokolenia
syn

Jarosław Ciemny
2004 rok

*Mojemu mężowi Władkowi,
synowi Jarkowi, córce Agnieszce
synowej Joli, wnukom:
Kamilowi, Karinie, Iwonce, Julii
oraz bratankom: Krzysztofowi, Jackowi,
Leszkowi i ich rodzinom*

Autorka

NIC NIE TRWA WIECZNIE

OKRUCHY WSPOMNIEŃ DO ROKU 1946



Barbara Daroszeńska - Ciemny

*„....ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo....”
Zbigniew Herbert.*

Życie składa się z trzech części : absorbującej teraźniejszości, zamglonej przyszłości (w moim przypadku już krótkiej) i z przeszłości, znajdującej się we wspomnieniach.

Czy musimy wszystko rozumieć?

Ryszard Kapuściński w „Lapidarium” uświadomił mi, że nie istnieje pełne przedstawienie rzeczywistości, najwyżej wybór. Nie ma jednej pamięci-każdy pamięta co innego i w dodatku-inaczej. Czasami myślę, że wszystko jest ważne, ale równocześnie wiem, że dla każdego co innego...

Należę do pokolenia przedwirtualnego. Przestrzeń cybernetyczna jest mi zupełnie obca. Świat oszalał na punkcie komputerów. Oglądanie telewizji zapewnia zupełnie nowy typ uczestnictwa. W mediach obserwuje się całkowity brak umiaru-chaos, mordy, horror, kataklizmy...Technika zmienia kulturę. Pojawia się problem wyboru, szumu informacyjnego.

A książki, słowa?- te bez obrazków.

Historia kultury zaczęła się od obrazków i wraca do nich.

Jakiś czas żyłam w przekonaniu, że to, co ja przeżyłam jest najważniejsze...

Dziś wiem, że to nie tak,

Rodzimy się, mijamy, mijamy, mijamy...Świat od nas odchodzi, to co kiedyś było bardzo trudne, staje się łatwe, to, co kiedyś było łatwe, dziś staje się nieosiągalne.

Czuje się w obowiązku spisać to, co pamiętam, ile się tylko może, ile wydają się, że tak było naprawdę.

Wiem , że nie da się uniknąć niedokładności.

Moja wiedza jest fragmentaryczna, ułamna...

Mam też wątpliwości czy ktoś zechce to przeczytać.

Co wiem o moich- naszych przodkach? Niestety, niewiele.

Dziadek z rodziny Daroszewskich miał na imię Szczepan, a jego żona- Franciszka z domu Piotrkowska. O babci wiem, że umarła mając zaledwie 63 lata. Mama opowiadała mi z zażenowaniem, że w czasie choroby traktowano ją jako staruszkę. Zmarła na początku lat trzydziestych w Izbicy.

Dziadek umarł nagle(atak serca), miał 77 lat. Dzień ten zapamiętałam. Był to czwartek. Rano poszłam z Dziadkiem na targ, kupił mi słonecznik. Za parę godzin poczuł się źle, wezwano lekarza, w kilkanaście minut potem nie żył (1934).

O dziadkach po mieczu wiem również, że na początku lat dwudziestych kupili do spółki z ojcem kamienicę w Izbicy i zamieszkali razem z nami. Był to czas inflacji. Mama opowiadała, że banknoty na zapłacenie domu były w walizie.

Dziadek był kowalem, prowadził kuźnię przez wiele lat w Wólce (niedaleko Modzerowa) . Najstarsza córka Seweryna, po mężu Gryglewska, wyszła za mąż też za kowala. Wyjechali do Ameryki. Ciocia bardzo tęskniła za krajem. Wrócili po kilku latach. Jakiś czas mieszkali w Izbicy, nie wiodło im się.

W poszukiwaniu pracy zamieszkali we Włocławku i tam są pochowani. Ciocia Seweryna miała 90 lat jak zmarła w 1981 roku. Byłam na pogrzebie, wujek zmarł kilkanaście lat wcześniej. Mieli b. dużo dzieci : synowie - Henryk, Edward, Zygmunt, a córki - Walentyna (urodzona w Ameryce), Krystyna, Ilona, Lucyna. Wszyscy pozakładali rodziny i mieszkali we Włocławku.

W tym samym mieście pracował i ożenił się stryj - Mieczysław miał kilku synów i jedną córkę Reginę. Mąż jej był oficerem. Znaleźli się w czasie wojny na Sybirze. W skrajnej nędzy wrócili kilka lat po wojnie do Polski. Wujek Mietek ostatnie lata swego życia spędził w Elblągu, straciłam z nim kontakt. Następny brat ojca - Antoni ożenił się i pracował w Izbicy. Był urzędnikiem na poczcie. Nie miał dzieci. Jako trzydziestoletni człowiek zmarł, na gruźlicę. Pochowany na cmentarzu w Izbicy. Miał bardzo ładny grób otoczony grubym

łańcuchem, często chodziłam zapalać znicze. Podczas wojny okupanci zabrali wszystkie elementy żelazne na broń (krzyż, okucia, łańcuch okalający). Ciocia Marta jako osiemnastoletnia dziewczyna wyjechała do Stanów. Osiedliła się na stałe w Detroit w Stanie Michigan. Była krawcową. Miała trzech mężów. Ostatni nazywał się Szumiak. Żyła dostatnio. Wybudowała tam obszerny dom. W ostatnich latach życia piętro wynajmowała lokatorom, poprawiając sobie finanse. Nie miała dzieci. Jej marzeniem było zamieszkać razem z Wאלą Gryglewską, która urodziła się w Stanach, co stało się podstawą do starań o wizę. Trwało to kilka lat. Polska Ludowa nie chciała dać zezwolenia.

W końcu spełniło się życzenie obu Pań, zamieszkały razem na zawsze. Ciocia Marta była dwa razy po wojnie w Polsce. Była to typowa Amerykanka, z dużym poczuciem humoru. Uwielbiająca różowy kolor, pełna wigoru, radości. Przez całe życie utrzymywała korespondencje z moją Mamą. Pisała ciekawe listy. Zmarła w wieku osiemdziesięciu kilku lat w latach siedemdziesiątych. Wala zamieszkała w jej domu. Od wielu lat nie pisze.



Autorka przy pracy-Siemkowice-2004 rok

Tato – Zygmunt.

Był to człowiek bardzo ambitny, który chciał osiągnąć pozycję w życiu. Miał też odwagę podejmowania różnych prób. Kilka razy bankrutował, ale nie załamywało go to. Pracował w firmie Singera, sprzedawał rowery, prowadził sklep kolonialny, miał monopol alkoholowy, hurtownię tytoniu, wyszynk, bilard, amunicję myśliwską. Prowadził to wszystko równocześnie, oczywiście z pomocą rodziny, a szczególnie żony.

Był legionistą, należał do POW, wielki Piłsudczyk. W 1935 roku pojechał do Wilna na pogrzeb Marszałka.

W 1938 odznaczony Krzyżem Zasługi za pracę społeczną.



Mój tato w głębokiej młodości
(lata 20-te XX wieku)

Matka moja Aniela z domu Raszevska urodziła się 6 sierpnia 1897 roku ,w Brdowie. Ojciec Jej Antoni był młynarzem, czuł się szlachcicem, przynajmniej z pochodzenia. Ożenił się z Marią Radke (nazwisko pochodzenia niemieckiego), ale babcia czuła się wielką patriotką. Nauczyła moją Mamę wielu piosenek powstańczych. Wkrótce zamieszkali w Modzerowie. Mieli 7-ro dzieci : Aniela, Zofia, Kazimierz, Izabela, pozostałe wcześniej zmarły jako dzieci. Mama była najstarsza i o niej napiszę oddzielnie, umarła jako ostatnia. Babcia chorowała na gruźlicę - mając zaledwie 32 lata osierociła swoje dzieci (kiedy urodziła wspomnianą siódemkę?), był to wielki wysiłek dla organizmu, a w dodatku choroba...



Mama

Dziadek wkrótce po śmierci Babci ożenił się z Marianną Skalską. Była to jego ukochana Mania, która dała mu 5-ro dzieci? Józefę, Władysławę, Antoniego, Wandę, Natalię. Antoni Raszewski umarł mając 77 lub 78 lat w końcu lat czterdziestych. Pochowany w wspólnym grobie Raszewskich na cmentarzu w Modzerowie.

Teraz kilka słów o rodzeństwie Mamy.

Ciocia Zosia wyszła za mąż za wdowca Antoniego Lisieckiego, który miał dwie córki, urodziła córkę Marysię (w czasie wojny wywieziona do Niemiec), przeżyła tam wielką tragedię i słuch o niej zaginął, nie wróciła. Przed wojną często bywała u nas w Izbicy, a ja też wielokrotnie przebywałam na wakacjach w Brdowie (tam mieszkali). Była śliczna, chyba miała około 18 lat. Jej brat Antoni zwany Tolkiem był młodszy o kilka lat (ur, się w 1925 r.). Do dziś żyje, mieszka w Łodzi.

Ciocia Zosia zmarła w 1934 roku, mając 35 lat. Pochowana w Brdowie, na niedużym cmentarzu, położonym przepięknie na wzgórzu w pobliżu jeziora, w tle klasztor Paulinów, znajduje się tu zbiorowa mogiła powstańców styczniowych z ważnymi osobistościami.

Kazimierz Raszewski jako 19-letni chłopiec -ochotnik brał udział w wojnie bolszewickiej, ranny, odznaczony przez Piłsudskiego. Mieszkał w Kole, uprzednio w Izbicy. Ożenił się z Zofią Dopierałówną i miał córkę Irenę (dziś Korzeniowską), żona zmarła, mając 25 lat (pochowana w Izbicy). Wujek ożenił się ponownie z siostrą Janiną i miał córkę Halinę. Do wojny prowadził sklep monopolowy w Kole, powodziło mu się dobrze.

W czasie wojny aresztowany, siedział w więzieniu, „cudem” zwolniony. Irka skończyła pierwszą klasę gimnazjum w 1939 roku, następnie wywieziona do Niemiec, gdzie pracowała 3,5 roku. Wujek zmarł w 1951, mając 51 lat. Irka i Halinka były prześladowane przez UB i sekretarza partii Mamońskiego w Kole. Mimo pozytywnie zdanych egzaminów wstępnych nie dostały się na studia wyższe, bo za nimi szła opinia Komitetu Powiatowego PZPR. Marzeniem

Irki było skończyć anglistykę, zdawała na Uniwersytet w Toruniu - 16 kandydatów, 30 miejsc, dobry wynik egzaminu - nie przyjęta, w dodatku знаła dobrze j. niemiecki. Halinka trzy razy próbowała na trzech różnych uczelniach, zawsze pozytywnie - bez skutku. Zasadniczy argument – „pani ojciec należał do BBWR-u” - Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Obie siostry mieszkają w Kole, mają po dwoje dzieci (wykształceni medycznie).

Na oddzielną uwagę zasługuje mąż Ireny - Władysław Korzeniowski Lolek, matematyk, profesor gimnazjum w Kole. Całe życie uczył w jednej szkole. Człowiek z klasą, o wysokiej kulturze. Umarł w 1992 roku, mając 76 lat. Do końca życia rozwiązywał zadania matematyczne. Był osobowością w Kole. Jako ciekawostkę chcę dodać, że Irka, jego żona, była uczennicą. Małżeństwo trwało 40 lat.

Halinka bardzo dzielna, owdowiała w wieku 31 lat, sama wychowała dzieci.

Ciocia Izabela urodziła się w lutym 1905 roku, była najmłodsza z rodzeństwa. Całe życie przyjaźniła się z moją mamą, chociaż była między nimi różnica 8-miu lat. Wspólnie wybudowały sobie za życia grobowiec w Izbicy i zostały w nim pochowane wraz z prochami w urnach swoich tragicznych mężów. Pierwsza zmarła ciocia Iza, mając 71 lat (wylew). Zgodnie z Jej wolą przywieziono Jej ciało z Warszawy. Pogrzeb odbył się w czerwcu w 1976. Spotkaliśmy się wszyscy u Alesi Niewiadomskiej, kuzynki mamy z domu Chwaliszówna. Jej matka była promienną, cichą osobą, do której jako mała dziewczynka biegałam pełna ufności (matka Tadeusza Chwalisza). Mieszkali w parterowym domku, zajmowanym potem przez liczną rodzinę Łopacińskich. Moja mama oddała im miejsce na cmentarzu, gdzie pochowani byli dziadkowie Daroszewscy.

Izabela w młodości była piękną, o bujnych włosach dziewczyną. W Modzerowie zakochał się w niej Józef Woźniak, dziadek nie przyjął jego oświadczyń. Zrozpaczony chłopak, ponieważ był biedny, wyjechał do Ameryki. Nigdy nie zapomniał o ukochanej Izie. Po wojnie, gdy dowiedział się, że jest

wdową, przysyłał jej paczki, chciał się ożenić, wrócić do Polski. Ponieważ się nie zgodziła, ofiarował jej duży portret fotograficzny w złotych ramach, wykonany ze starego zdjęcia, zapewniając że do końca życia jej nie zapomni (dla niej chciał zostawić swoją rodzinę w Stanach - żonę i dorosłe dzieci).

Ciocia w młodości wyszła za mąż w 1927 roku za Stanisława Zakrzewskiego. Była to jej wielka miłość. Mieszkali w Chodczu, prowadzili sklep. Mieli dwóch synów, obaj umarli po kilku miesiącach życia. Zrozpaczeni, zbankrutowani przyjechali do Izbicy. Wujek został komiwojażerem firmy łódzkiej z tkaninami, przedtem był przedstawicielem handlowym maszyn Singera. Były to lata 20-te - kryzys światowy, czasy inflacji. Ciocia postanowiła pomóc rodzinie, wyjechała do Warszawy sama, zamieszkała w Rembertowie u brata męża - Floriana Zakrzewskiego, chorążego wojsk polskich i uczęszczała na kurs modystek. Ukończyła go i założyła zakład kapeluszy w Izbicy.

W 1934 urodziła córkę Olimpię, a w 1940 syna Włodzimierza. Wujek ciągle borykał się z problemem pracy zawodowej.

Razem z moim ojcem został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu, zginął w marcu 1941 roku w Mauthausen. O urodzinach syna dowiedział się w więzieniu.

Izabela była bardzo dzielna. Sama wychowała dwoje dzieci. Całą wojnę prowadziła pracownię kapeluszy, ubierała Niemki, a także po wojnie Polki. Córka Oleńka po zdaniu matury w Izbicy ukończyła geodezję na AGH w Krakowie, a potem pracowała w Warszawie. Na początku lat 70-ch wyjechała do Kanady, wyszła za mąż za Stanisława Bralę, ma syna Mariusza, który studiuje w Stanach Zjednoczonych. Aktualnie mało o niej wiem. Nie miałam nigdy siostry i Oleńka ją zastąpiła. Nie udało się nam jednak tak zaprzyjaźnić, by wszystkie radości i zmartwienia dzielić. Być może jest to wina nas obu.

W miarę upływu czasu dochodzę do wniosku, że to różne warunki życia nas rozdzieliły. Nie jest to sprawa odległości. Od kilku lat Oleńka telefonuje do

mnie i wtedy rozmawiamy bez zahamowań. Ostatnio nic o niej nie wiem, zmieniła adres i nie podała mi go.

Włodek Zakrzewski - zdolne, sympatyczne dziecko, o zainteresowaniach ścisłych, maturę zdał w Izbicy. Był moim uczniem w liceum przez jeden rok. Ukończył Politechnikę Warszawską. Ożenił się z Dorotą, mają jednego syna Piotra. Przez te wszystkie lata utrzymywałam z Władkiem kontakt rodzinny, dość systematyczny póki żyły nasze mamy, a potem spotykaliśmy się raz do roku przy wspólnym grobie w święta zmarłych. W 1993 roku Włodek nie przyjechał do Izbicy. Dowiedziałam się, że jest ciężko chory. Miał straszną chorobę tzw. zanik mięśni, w pół roku potem nie żył. Byliśmy z Władkiem na pogrzebie w lipcu 1994 roku. Było to dla mnie wielkie przeżycie, z naszej rodziny była tylko Władzia Hyziakowa, ja i Włodek. Jest pochowany na cmentarzu Wawrzyszewskim w głębinyowym grobie. Miałabym ochotę wyrazić swój żal, przygnębienie, bezsilność... Czas jednak uspakaja człowieka. W mieszkaniu Włodka jest wiele pamiątek po nim, na ścianach fotografie z naszego dzieciństwa i to wszystko, co pozostało. Co jest w sercach moim, Oleńki, Doroty czy Piotrusia odejdzie razem z nami w zaświaty, dla każdego z nas jest kimś innym. Często rozmawiamy o nim z Władkiem, on też bardzo przeżył tę wczesną tragiczną śmierć.

Idąc tropem rodzeństwa mojej mamy, chciałabym napisać według starszeństwa o cioci Ziucie - Józefie Szpetkowskiej. Nie znam lepszego człowieka. Moja ukochana ciotka, nadzwyczaj gościnna. Wyszła za mąż za Henryka, przystojnego kawalera. Przyjechał z Kanady, toteż spłacił młodsze rodzeństwo i dziadek kupił ziemię w Dębach Szlacheckich i tam się wprowadził. Ciocia zamieszkała z wujkiem w Modzerowie. Mieli trzy córki: Jadwigę, Halinkę, Urszulę. Wujek był wspaniałym gospodarzem, niezwykle pracowity, straszliwy choleryk. Głos jego przerażał wszystkich. Ukochał ziemię i oddałby wszystko, by gleba dawała dobre plony. Podczas wojny był wysiedlony wraz

z rodziną w lubelskie. Po wojnie popadł kilka razy w poważny konflikt z władzami komunistycznymi, mimo wielkiego wysiłku nie mógł sobie poradzić z wywiązaniem się z podatków, gnębiono go. Był straszliwym przeciwnikiem uspołeczniania ziemi. Los sobie z niego zakpił, żadna córka nie chciała zostać na wsi. Zmuszony sytuacją oddał ziemię na zasadzie alimentów wraz z połową domu synowi sąsiada. Sołtysiński doprowadził gospodarstwo do kompletnej ruiny, a cyniczny los kazał temu z zamięłowania rolnikowi patrzeć na to. Doprowadziło go to do choroby psychicznej, toteż pod koniec życia nie poznawał już własnych córek. Ciocia Ziuta była z nim do końca, pochowany w Modzerowie.

Z kolei wyjechała z Modzerowa, zatrzymując się u córek w Kole, Poznaniu, Bojanowie. Nie straciła życzliwego stosunku do ludzi, kobieta o szerokim sercu, pełna kultury, skromna mało wymagająca. Zmarła w 1999 roku.

Kolejna siostra Władysława Hyziak mieszka w Warszawie, wyszła za wdowca z dwojgiem dzieci, sama miała córkę Lilę(pracuje w handlu zagranicznym w Berlinie).

Brat Antoni Raszewski do dziś mieszka w Dębach Szlacheckich, prowadzi gospodarstwo. Mało wiem o jego rodzinie.

Siostra Wanda wyszła za mąż za Kosmalskiego miała córkę Jolantę. Była ambitna, o uzdolnieniach artystycznych. Mąż jej stosunkowo wcześniej umarł, leży na cmentarzu w Kole. Wyprowadziła się do Warszawy(z zawodu nauczycielka). Od czasu przejścia na emeryturę zamieszkała z córką. Jola ambitna, przedsiębiorcza, pracowała w firmach zagranicznych, jeżdżąc po całym świecie służbowo (mam pocztówki z trzech kontynentów). Przez jakiś czas mieszkała w Wiedniu. Urodziła córeczkę Joasię. Wielkim szokiem dla niej i dla całej rodziny była operacja i śmierć Wandzi w 1989 roku(skończyła 63 lata). Pogrzeb odbył się w Kole.

Natalia Tomicka - najmłodsza córka dziadka (z drugiego małżeństwa)

jest ode mnie starsza o jeden rok, bardzo dzielna, dobra, pobożna. Całe dorosłe życie mieszka w Kole.

Tyle pamiętam o najbliższej rodzinie mojej Mamy. Bliski kontakt utrzymuję z córką cioci Ziuty Ulą, jest ona moją chrześniaczką, mieszka w Starym Bojanowie. Pełna inicjatywy, przebojowa, ma sympatycznego męża Leszka Bulińskiego, dwoje dzieci - Małgosię i Marcina.



Fotografia wykonana w czasie odpustu w Modzerowie u Dziadków (przed wojną)

Z góry od lewej:

Marylka Lisiecka (zginęła w niewiadomych okolicznościach) w Niemczech, lat 19, mała **Oleńka Zakrzewska** jest w Kanadzie, **Stanisław Zakrzewski** zginął razem z Ojcem w obozie koncentracyjnym w 1941 roku, obok **Izabela Zakrzewska**, Ciocia **Ziuta Szpetkowska**. na końcu z prawej **Edmund Daroszewski**.

Poniżej w drugim rzędzie od prawej:

Antoni Raszewski (mieszka w Dębach Królewskich albo Szlacheckich), przyrodni brat mojej Mamy, z wásami Dziadek **Antoni Raszewski** (zmarł w 1950 roku) obok jego żona Marianna (druga) - **Mania** i najmłodsza córeczka z 2-go małżeństwa **Natalia**, obecnie Tomicka mieszka w Kole

Koło małego dziecka **Mama Aniela Daroszewska** z siostrzenicą **Jadwigą** i przyrodnią siostrą **Władysławą Hyziakową** (żyje i mieszka w Warszawie)

Na dole od prawej:

Wandzia Kosmalska

JA Basia Daroszewska

Monika Kuligowska (żona Tadeusza Chwalisza) z Izbicy

Ponieważ jestem myślami przy rodzinie mojej mamy, chciałabym utrwalić trochę wiadomości o niej samej.

Wspominałam już, że była najstarszym dzieckiem. Urodziła się 6 sierpnia w 1897 roku w Brdowie. Jest to osada o pięknej historii. W pobliżu znajduje się głębokie jezioro, o którym krążą niesamowite legendy. Podobno jest podziemne przejście od klasztoru na drugą stronę jeziora - do Radoszewic. Moja mama miała tam rodzinę, do której czasami jeździła. Opowiadano, że jezioro co roku musi pochłoniąć jakąś ofiarę. Faktycznie często ktoś tonął, ponieważ było bardzo głębokie, nie udawało się uratować. Na oddzielną uwagę zasługuje klasztor Paulinów, jest to miniatura kościoła w Częstochowie.

Kiedy mama miała kilka lat, dziadek przeprowadził się do Modzerowa. W pobliżu jest też jezioro polodowcowe, malowniczo położone, otoczone wzgórzami, niedaleko rozciągają się mokre łąki i torfowiska, charakterystyczne dla Kujaw.

Mamusia opowiadała, że czuły się szlachciankami, ale żyły jak chłopki. Musiały pomagać w pracach w polu, były narażone na opaleniznę, dlatego zakładały rękawiczki, długie rękawy, aby nie wyglądać pospolicie. W niedzielę jednak ubierały kapelusze, rękawiczki, ładne sukienki i szły do kościoła. Po południu dziadek nastawiał patefon z tubą i tańczono wesoło. Zimą chodzili do szkoły rosyjskiej (przez 4 lata). Były to czasy zaboru. Mama opowiadała, że któregoś zimowego wieczoru przyjechali żołdacy rosyjscy, przeprowadzili rewizję, nakradli co się dało...

W roku śmierci mojej babci mama miała 16 lat, a ponieważ była najstarsza, marzyła o tym, by jak najszybciej wydostać się z domu, w którym po przybyciu macochy nie czuła się najlepiej.

W 1917 roku wyszła za mąż za Zygmunta Daroszewskiego, miała skończone 19 lat, a ojciec 21 (był to luty). W tym samym czasie wyprowadzili się do Izbicy

Kujawskiej. Wspominałam wcześniej, że kupili wspólnie z dziadkami Daroszewskimi - kamienicę.



Nasza kamienica rodzinna w Izbicy Kujawskiej, przed wojną ulica Pierackiego 4, potem Bahnhofstr., następnie Stalina, wreszcie Kolska.





Mama, Tata, Tadek i Edmund ~1924 rok.



Leszek z piastunką
Weroniką, poniżej mój
Ojciec, Mama, Tadek,
Babcia Daroszevska,
Edmund- 1925 rok



Leszek i ja 1931 rok.

Do drugiej wojny światowej prowadzili sklep, stopniowo rozwijając się. Mama była przykładem kobiety - żony, podporządkowanej mężowi. Jak sama mówiła, często hamowała niektóre pomysły taty, przewidując ryzyko. Miewała czasami tzw, przeczucia. I tak prześladowała ją myśl, że nad naszą rodziną, a szczególnie ojcem wisi nieszczęście. Do tego jednak wróć.

.....W 1918 roku urodziła syna Edmunda. Ten pierworodny był czarny, o takich samych oczach jak mama. Było to dziecko umuzykalnione. Od piątego roku życia uczył się gry na skrzypcach, czynił to z wielkim zapalem i robił ogromne postępy. Szkołę powszechną skończył niezbyt chwalebnie. Ojciec chciał, by został kupcem, a gdy nie wyrażał zainteresowań, wysłał go do Włocławka na „sztepera” (miał szyc cholewki do butów). Czuł się nieszczęśliwy, marzył o muzyce. Ojciec nie chciał o tym słyszeć.



Leszek urodził się 13 października 1925 roku - trzeci syn. Ojciec był niepokojony. Nie dał mamie przygotowanego prezentu (złota cukierniczka, chyba pozłacana). Wciąż czekał na córkę. Chłopiec był ładny, wychowywał się pod opieką niani. Często miewał migreny, był niespokojnym duchem o szalonych pomysłach.



Tadeusz urodził się 2 stycznia 1920 roku, na chrzcie otrzymał imię Kościuszki, bo był to rok znamienitych wydarzeń historycznych i należało podkreślić swój patriotyzm. Rodzice byli bardzo młodzi, mama Nela, Aniela - lat 22, a ojciec- 24, był to już ich drugi syn. Dziecko delikatne, chorowite, ogromnie wrażliwe.



Chodząc na spacer, zawsze spoglądał pod nogi, by przypadkiem nie zdeptać jakiegoś robaczka. Gdy miał lat 13, mierzył 146 cm, a potem wyrósł na przystojnego, wysportowanego mężczyznę o wzroście 174-5 cm.

Do szkoły powszechnej chodził w Izbicy Kujawskiej, następnie do gimnazjum w Włocławku w tzw. Handlówce. Pamiętam przyjeżdżał w granatowym mundurku z niebieskimi lampasami (wypustkami). Uczył się średnio, ale był bożyszczem sportowym, jeździł na łyżwach, grał w siatkówkę..., odnosił sukcesy, stał się popularny, zdobywał medale. Czasami opowiadał o swoich przygodach. Mieszkał na stacji. Często chodził z kolegami na filmy, niejednokrotnie na „zakazane”, treść niektórych znam z jego opowieści (dziś powiedzielibyśmy, że były „niewinne”, chociaż dla dorosłych).

Po dwóch latach wyjechał do Słupcy, niedaleko Konina i tam w szkole handlowej powtórzyły się jego sukcesy sportowe.

Grał na skrzypcach, gitarze, a potem na akordeonie. Pamiętam występy moich braci na scenie w remizie strażackiej (grali i śpiewali).

Edmund zdobył sławę Izbicką w roli Chrystusa w przedstawieniu amatorskim, ale podobno reżyserowanym na wysokim poziomie. Publiczność była liczna, powtarzali spektakl wielokrotnie (płakano).

Tymczasem Tadek przygotowywał się do „dużej” matury, pracując w Urzędzie Gminy. Zarabiał 100 zł miesięcznie (nie wiem na pewno ile). Kupił sobie garnitur, wyglądał ślicznie. Należał do braci, którzy nie wstydzą się swoich siostr małych.

Tadek marzył o własnej hurtowni, o pracę było wtedy bardzo trudno. Chciał naśladować ojca, podziwiał go za pomysły (kupienie samochodu „Puch” w celach zarobkowych, prowadzenie składu amunicji myśliwskiej, prowadzenie restauracji, założenie telefonu, kupienie najpierw radia słuchawkowego, a potem nowoczesnego lampowego, uczestniczenie w wycieczkach, zajęcie się z pełnym zaangażowaniem w pracę społeczną, filantropijną).

Krystyna Barbara

Urodziłam się 13 marca 1929 roku w Izbicy Kujawskiej. Byłam czwartym dzieckiem z kolei. Marzenie ojca spełniło się. Córka musiała mieć warkocze i imię Basia, takie samo jak w hymnie narodowym, „mówił ojciec do swej Basi...” Czekał na nią długo. Moja mama twierdziła, że zostałam wyproszona u Matki Bożej tej z Brdowa, a także Tej z Lichenia. Marzec tego roku był bardzo mroźny, ponad 20stopni. Zawieje śnieżne nie wskazywały na to, że zbliża się wiosna. Przyszłam na świat odbierana przez zaprzyjaźnioną i ogólnie szanowaną panią Marię Jadczak. Wykąpano mnie, według najnowocześniejszej metody, w zimnej wodzie. Ojciec szalał z radości. W Izbicy rozeszła się wieść... Miałam wszelkie dane, by być szczęśliwym dzieckiem. Zaczęło się od imienia. Mój chrzestny pomylił kolejność moich imion i tak wpisano w akcie urodzin- Krystyna Barbara a nie odwrotnie. Nie wiedziałam o tym, aż do dnia matury.



I Komunia Święta. Fotografia wykonana w moim domu na piętrze.

Dzieciństwo moje do 1 września 1939 roku było pogodne, normalne. Jedyna dziewczynka najmłodsza w rodzinie,

przez moich braci często wykpiwana, przezywana („łajka” , „zmora”, „zmorka”). Chodziłam do ochronki, często mówiłam wierszyki, śpiewałam piosenki. Pamiętam 12 maja 1939 roku, recytowałam wiersz w rocznicę śmierci Komendanta na Rynku - w Ogródku Wolności (Ojciec należał do POW-u).

Potem poszłam do szkoły, byłam bardzo pilną uczennicą. Kiedyś wygrałam konkurs na najlepsze wypracowanie na temat: „Na Kujawach nic nie braknie, tylko drewek każdy łaknie”, otrzymałam jakąś nagrodę.

Stosunkowo mało pamiętam Tatusia. Był chyba porywczy. Nosił brązowe garnitury, często wyjeżdżał po towar do sklepu. Spał z latarką i browningiem pod poduszką (na pewno miał tam również pieniądze). Jako działacz społeczny zaangażował się w budowę szkoły, należał do różnych organizacji. Chodził na polowania, był towarzyski, wesoły. Lubił kupować mi ładne zabawki. Pamiętam piękną śpiącą lalkę, przysланą z Warszawy od „Braci Jabłkowskich”. Kiedyś w tajemnicy nauczyłam się pod ramą jeździć na męskim rowerze. W nagrodę kupiono mi młodzieżowy rower przechodzony. Musiał drogo kosztować, bo mama była zgorzona, że tato mnie rozpuszcza.

Pamiętam jeszcze inne fakty z dzieciństwa, któregoś dnia kazano mi iść do fryzjera. Poszłam, znajomy mistrz obciął mnie na tzw. „polkę”. Tatuś szalał, jak można było Basi zniszczyć długie włosy, miał pretensje do mamy.

Kiedy indziej nadszedł sądny dzień. Mój ulubiony piesek „Mopsik” (miał tyle lat co ja), wpadł pod samochód i zginął.



Rodzice

Prawdziwy kataklizm nastąpił w moim i mojego kraju życiu 1-go września 1939 roku.

Panika, komunikaty radiowe, płacz Mamusi. Zapytałam, ile lat trwała poprzednia wojna - odpowiedziano mi, że 4 lata. Byłam przerażona. Wyobrażałam sobie, że to będzie kilka dni.

Tatuś wraz z Mundziem i Tadzikiem poszli ochotniczo zaciągnąć się do wojska. Pojechali na ratunek Warszawie, wrócili chyba pieszo, brudni, obszarpani, przygnębieni, głodni - po trzech tygodniach. Trzech młodych mężczyzn (ojciec 44 lata, Edmund 21 lat, Tadeusz 19 lat) było bezradnych, bezsilnych, zawiedzionych, Polska ich nie potrzebowała, a chcieli oddać swoje siły, a nawet życie w obronie jej granic...

Tymczasem ja z mamą i Leszkiem byliśmy w Izbicy. W sklepie była panika, pełno klientów, wszyscy wykupywali. Przychodzili również żołnierze, wymachiwali karabinami, grozili... Z Włocławka przyjechała rodzina mojego Taty - kilkanaście osób. Koczowali u nas, wydawało się, że tutaj bezpieczniej. My z kolei zostawiliśmy ich w domu i pojechaliśmy w trójkę na wieś furmanką na Koziejaty. Po kilku dniach wróciliśmy.

Cała rodzina w komplecie - 3-ch braci, ja , rodzice, Stasia (nasza dziewczyna) zastanawialiśmy się, co robić dalej. Niemcy byli już w Izbicy, która została nazwana Mülhental. Mama była bardzo niespokojna, pełna złych przeczuć....

11 listopada 1939 roku było pierwsze aresztowanie, prawie wszystkich znaczących obywateli miasteczka - mężczyzn, którzy przed wojną zajmowali się sprawami społecznymi- aresztowano, w tym mój ojciec. Mama rozpaczliwie szukała ratunku. W Izbicy Kujawskiej od dawna mieszkali Polacy, Niemcy, Żydzi, wszyscy mieli obywatelstwo polskie. Był kościół katolicki , ewangelicki, bożnica - w sobotę i niedzielę świątynie te były wypełnione wiernymi. Dzieci wszystkich narodowości bawiły się razem, uczyły w szkole, oczywiście po polsku. Moi przyjaciele to Żydzi - Józio i Ala Rogozińscy.

Mimo starań Taty nie zwolnili, a przecież tak niedawno chodził z Niemcami na bale, imieniny, polowania.

Najpierw przyszła wiadomość z więzienia z Inowrocławia, po uprzednim pobycie w Kole, potem pobyt w obozie koncentracyjnym w Dachau...

W maju 1940 roku nastąpiło ogólne wysiedlanie właścicieli ziemskich tych bardzo bogatych i tych średnich. Zgromadzono ich w sali strażackiej. Odwiedziliśmy ich, zanosząc jedzenie, część z nich była naszymi klientami - pani Piasecka - Wotowska z Wólki, pan Szamowski z Mchowa... Pamiętam hr. Dunina, jak na początku wojny jechał w pięknym oficerskim mundurze na koniu. Wyglądał jak na obrazku.

Szybko przyszedł sierpień 1940 roku. Któregoś dnia wieczorem znajomy i życzliwy Niemiec zawiadomił nas, że w nocy będą wysiedlać. Należało się przędko przygotować. Co zabrać? Jak w ogóle można wyjść z tłumokiem w ręku z własnego domu, opuszczając go „na zawsze” na rozkaz okupanta. Nie panikowaliśmy. Mama przyzwyczajona do uzgadniania wszystkich poczynąń z Tatą naradzała się z braćmi. Tadzik uciekł z domu. Myślę, że była to jego decyzja. Mama wszyła sobie w pasek do pończoch marki, a mnie-w fałdy układanej spódniczki. Część rzeczy wyniosła do znajomych i rodziny, część ubrań włożono do schowka przy kręconych schodach. Szybko nowi właściciele - Niemcy za Buga odkryli ten worek z rzeczami. Dowiedzieliśmy się o tym z listu (pisano nam, że córka nowego właściciela już nie naszego domu chodzi w moim kujawskim ubraniu- strój ten tam był).

Nadeszła noc. Poszliśmy bardzo późno spać. Wyobrażam sobie, że Mamusia wcale nie spała. Obudził nas łomot w drzwi i głośne okrzyki w języku niemieckim. Poinformowano nas, że musimy opuścić dom. Częściowo spakowani wyszliśmy. Dniało. Na podwórku było pełno ludzi. Porozumiewaliśmy się tylko oczyma. Mamusia nie płakała. Cofnęła się na moment do wnętrza domu, chwyciła w rękę dwie ciemnozielone kapy (w bardzo dobrym gatunku) i rzuciła je stojącym w milczeniu. Nikt się nie odezwał, żandarmi też nie protestowali. (Po wojnie te narzuty wróciły do nas w bardzo dobrym stanie. Los rzeczy czasami jest trwalszy niż ludzi).

Nie pamiętam transportu do Łodzi, odbywało się to pociągiem. Z dworca szliśmy - jezdnią, dźwigając podręczne bagaże. W blasku latarni patrzyłam przerażona na zmęczone twarze ludzi młodych, starców, dzieci. Sama dźwigałam jakieś wiaderko po marmoladzie wypełnione rzeczami czy jedzeniem. Cały czas czułam milczące spojrzenia zgromadzonych przed moim rodzinnym domem sąsiadów, było wśród nich wielu Żydów, tylu ludzi bezsilnych, a przecież życzliwych. Tak się z nami żegnali.

Przewieziono nas do Łodzi. Nie pamiętam czy kiedykolwiek byłam przedtem tutaj, chyba nie. „Zamieszkaliśmy” w halach fabrycznych. Rewizja... Utkwiły mi dwa obrazy. Przeszukiwano mojego brata Edmunda, znaleźli mu żandarmi w pudełku z zapalkami 20 marek, zbili Go. Pieniądze, oczywiście, zabrali. Inna scena - pani Zasuchowa, żona dependenta, matka czworga dzieci (przyjaźniła się z nami przez całą wojnę) piękna, młoda kobieta 30 -letnia, ubrana elegancko: czarny dopasowany kostium, wężowe czółenka na wysokich obcasach, pilśniowy kapelusz. Rozebrano ją na naszych oczach do naga. Nic nie znaleziono. Zbirów ogarnęła wściekłość.

Potem była obowiązkowa łaźnia, tyle pary, biało, mokro i w tej mgle nagie postacie kobiet - stare powykręcane, z obwisłymi brzuchami, piersiami, młode - zgrabne, wysportowane, dziewczynki-chude, przerażone, do tych ostatnich należałam ja.

Na drugi dzień w nocy około 3-ej pobudka, idziemy na dworzec, niesiemy ręczne bagaże. Przede mną i za mną tłum ludzi. Cienie ich stają się coraz większe, sylwetki coraz bardziej pochylone, panuje przerażająca cisza. Eskortujący nas niemieccy żołnierze, nie muszą pokrzykiwać. Za mną daleko, daleko szczęśliwe dzieciństwo, a przede mną noc, rozpacz. Dokąd mnie zawiezie los?

Jechaliśmy długo w bydlęcych wagonach. Przytuliłam się do Mamy. Byłyśmy już tylko we dwie. Mundzia i Leszka oddzielono od nas, prawdopodobnie wywiozą ich do Niemiec na przymusowe roboty. Pociąg zatrzymał się

w Krośnie na Podkarpaciu. Znów jesteśmy w fabryce . Selekcja. Znajdujemy się teraz na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Kilka rodzin - państwo Michalscy (Norbert, Wiesia), p.p. Zasuchowie (Dziunia, Tadzik, Dzidek, Laluś), innych nie pamiętam oraz ja z Mamą. Jesteśmy w Jasle, stamtąd furmankami wiozą nas Polacy 18 km do Żmigrodu Nowego. Wozy wyplatane są z wikliny. Przepiękne krajobrazy górzyste, ciągle zmieniające się, pola podzielone są na małe, wąskie dywaniki. Góry stają się coraz wyższe, w pobliżu miasteczka na horyzoncie są widoczne trzy krzyże. Żmigród Nowy jest wielkości Izbicy. Mieszkają tu Polacy, Żydzi. Wszędzie napisy polskie, a obok niemieckie.

Otrzymałyśmy z Mamą pokój w willi drewnianej z ganeczkiem. Mamusia jest chora, ma gorączkę , leży. Muszę posprzątać, myję pierwszy raz w życiu podłogę. Moje jedenastoletnie ręce nie mogą sobie poradzić z ogromną szmatą. Najgorszą sprawą są posiłki. Gmina ma nami się zaopiekować. Wymyślono zaproszenia codziennie do innego domu. Obcy ludzie są sympatyczni, ale pewnie nie zdają sobie sprawy jak to nas peszy. Najbardziej zapamiętałam obiad na plebanii. Pani gospodyni gruba, wesola ma na imię Katarzyna. Jemy pyszne naleśniki. Na kolacje są faszerowane jajka w skorupkach.

Po kilkunastu dniach zorganizowano stołówkę. Niektórzy znaleźli pracę. Mama zawarła znajomość z księżną Czartoryską, w pobliżu znajdował się dwór, piękny park hrabiów Potulickich. Niedaleko płynęła Wisłoka, typowa góraska rzeka z kamienistym dnem.

Pewnego popołudnia zobaczyłam na szosie od strony Jasła dwóch młodych mężczyzn. Przyszli pieszo z powiatu (18 km). Byli to moi bracia Edmund i Tadeusz. W jaki sposób się skontaktowali, nie potrafię powiedzieć. Rodzina teraz składała się z czterech osób. A gdzie dwie pozostałe? Ojciec w obozie koncentracyjnym, a najmłodszy Leszek na robotach w Niemczech. Tamci starsi uciekli i przeszli granicę „na zielono”. W niedzielę poszliśmy razem do kościoła na mszę. Tuż przy parkanie znajdował się mały parterowy domek z wystawą sklepową z ogłoszeniem: „Sklep do sprzedania”, obok kaktus pięknie kwitnący.

Ogromne kielichy białych kwiatów przyciągnęły naszą uwagę. Po nabożeństwie wstąpiliśmy do tego domku, którego okna „wychodziły” na ogrodzenie kościelne, wypełnione starymi dębami. Od tego czasu zamieszkaliśmy w malutkim pokoiku przy sklepie. Bracia z Mamą prowadzili sklep spożywczy. To stało się źródłem naszego utrzymania.



Tadek i Edmund



Wnętrze sklepu-Edmund

Od września 1940 roku zaczęłam uczęszczać do szkoły powszechnej. Dzieci były polskie, nauczyciele Polacy, nauka odbywała się w języku polskim. Nie było w ogóle historii i geografii. Przemycano jednak wiadomości z tych przedmiotów na języku polskim i innych przedmiotach. Świadectwa były pisane w języku niemieckim i polskim. Nauczyciele byli wspaniali. Języka ojczystego uczyła mnie pani Knauerowa. W jej domu znajdowała się przemycona z budynku szkolnego biblioteka, stamtąd wyniosłam miłość do książek. Pochłonęłam ich mnóstwo. Wtedy nie doceniałam, jak bardzo było to użyteczne, jak niebezpieczne. Pani od polskiego była starsza, siwa, z kokiem, bardzo mądra, знаła osobiście Marię Konopnicką. Każdy ma swego ulubionego nauczyciela. Do nich zaliczam tę Panią.

Matematykę zrozumiałam i chętnie uczyłam się dzięki panu Radwańskiemu. Do niego też po ukończeniu szkoły powszechnej chodziłam na komplety z zakresu I klasy szkoły gimnazjalnej. Było nas czworo. Na tym skończyła się moja wojenna edukacja, nie licząc nauki gry na fortepianie przez dwa lata.

W szkole poznałam wiele koleżanek i kolegów. Moją szczególnie bliską była Władzia Myśliwcówna, także Janka Piwińska, ale najbliższa była Stasia Przybyłowska. Gdzie one są? Co się z nimi dzieje? Wiem tylko o tej ostatniej, że mieszka w Australii.

Dziewczyny czy pamiętacie nasze marzenia?.....

Te pięć lat w Żmigrodzie to nie zawsze smutek, tragedie.....



Edmund i Leszek grają na instrumentach.

Chłopcy grali na instrumentach, śpiewali, opowiadali dowcipy, prowadzili życie towarzyskie, chodzili na ryby (pstrągi),



Tadeusz z akordeonem

oczywiście politykowali.

Ciągle czekaliśmy na wiadomość od Tatusia. Raz w miesiącu przychodził list najpierw z Dachau, a potem z Gusen-Mauthausen. Były to krótkie, stereotypowe informacje, pisane po niemiecku, zaczynające się od słów- Jestem zdrow. Przy najśmielszej wyobraźni nikt z nas nie wiedział o świecie Apokalipsy, w którym żył Tato. Szukałam zawsze słowa Basia w tamtych listach... BYŁO!

Przed Bożym Narodzeniem przyszła wiadomość, że można wysłać 1 kg paczkę. Co przekazać w takiej małej ilości? Mama przygotowała trochę sucharków, tłuszczu... Przesyłki tej Ojciec nie otrzymał. Minęła pierwsza gwiazdka. Był opłatek, łyzy, myśl o Tatusiu i Leszku. Zaraz po świętach, wieczorem zebraliśmy

się w domu, wesoło opowiadając dowcipy również polityczne. Śmieliśmy się, tylko Tadzio był smutny, zaczęły padać domysły, że mu się randka nie udała itp., zapanowało jednak grobowe milczenie, gdy wyciągnął z kieszeni telegram, zawiadamiający o śmierci Tatusia. Nosił go cały dzień przy sobie, nie mając odwagi go pokazać.

Stało się to 29 grudnia 1940 roku. Według aktu zgonu umarł na atak serca, według relacji świadków, o czym dowiedzieliśmy się po wojnie, była to męczeńska śmierć, poprzedzona chorobą, biciem i zamordowaniem. Jeszcze wtedy Niemcy skrupulatnie przesyłali informacje oraz urnę ze spalonymi szczątkami. Otrzymała ją Ciotka Izabela w Izbicy Kujawskiej. Mamusia zrozpaczona chciała koniecznie pojechać na pogrzeb do Izbicy, która stała się Mülhental i trzeba było mieć zezwolenie od samego gub. Franca urzędującego w Krakowie. Tadzio pojechał z Mamą, ale zezwolenia nie dostali.. Urna z prochami przechowywana była w kościele Izbicy. Za trzy miesiące zginął w tym samym obozie wujek Stanisław Zakrzewski i w marcu 1941 roku odbył się pogrzeb. Podobno Izbica nie pamiętała takiego konduktu pogrzebowego - dwie trumienki przyszli pożegnać wszyscy mieszkańcy- jak przed wojną- Polacy , Żydzi, Niemcy(osiedleni od wielu, wielu lat).

Nie było tylko najbliższych Zygmunta Daroszewskiego...

Nie pamiętam jak to się stało, że po wojnie urny z prochami Wujka i Tatusia zostały złożone w grobowcu na cmentarzu w Izbicy Kujawskiej. Wybudowały go żony, których marzeniem i ostatnią wolą było pochowanie ich obok swoich mężów. I tak stało się- Ciocia Izabela została przywieziona z Warszawy, a Mama Aniela z Wrocławia.





**Tadek ,Edmund, Basia, Mama,
jesteśmy
w żałobie-Żmigród 1941 rok**

Pamięć ludzka jest ułomna. Lata 1940, 1941, 1942, 1943 dla mnie to czas nauki w szkole powszechnej, to także okres długich wieczorów, pełnych życia towarzyskiego.

Leszek przez dwa lata był w Niemczech. Pracował u gospodarza na wsi. Naprawdę nie pamiętam, w jakich okolicach mieszkał. Był taki młody , miał zaledwie 15 lat, gdy zaczęła się wojna. Czasami pisał listy. Mama wtedy zawsze płakała, czytając je. Nazywała go Lechuniu. Któregoś dnia w 1942 roku przyjechał on sam. Był chudy, drobny, blondyn, dźwigał małą harmonię guzikową, na której bardzo ładnie grał. Cieszyłam się. Niestety, były to potworne czasy i pozwolono mu przyjechać tylko dla tego, że był chory na gruźlicę, po prostu zwolniono go i niech umiera jak najdalej od Niemców. Mama z pozostałymi braćmi zaczęli intensywnie działać, by go ratować. Najpierw wizyta u lekarza - dr Rezacza. Prowadził specjalny tryb życia: doskonałe odżywianie pięć razy dziennie, leżakowanie po kilka godzin, lekarstwa. Pamiętam jak brał leżak, owijał się kocem pod ogromnymi dębami tuż przy kościele, w dole płynęła bystro Wisłoka. Codziennie po kilka godzin dziennie rozmawialiśmy. Był bardzo żywotny, pełen inwencji, nie poddawał się. Miał wiele zainteresowań . Bardzo lubił grać w szachy, nauczył mnie, założył

„laboratorium” fotograficzne, robił zdjęcia, sam je wywoływał, powiększał, retuszował...uczył się systematycznie języka niemieckiego (mówił już biegle) dużo czytał. Zakochał się z wzajemnością w mojej koleżance - Marysi Przybyłowskiej. Miał ulubionego psa, małego kundelka, któremu dał na imię "Szach" (wszystkie następne psy tak były nazywane i wiele lat później też).

Choroba rozwijała się, zmieniono leczenie. Brał odmě. W tym celu jeździliśmy do lekarza - do Krosna. Była to cała wyprawa. Tadzik wynajął bryczkę z koniem i pojechaliśmy w trójkę 30 kilometrów. W czasie wojny podróżowaliśmy albo pieszo, albo furmanką. Któregoś dnia odwiedziła nas pani Wotowska (właścicielka majątku w Wólce koło Izbicy) . Przyszła pieszo 30 kilometrów tylko po to, by porozmawiać. Po wojnie utrzymywała z nami kontakt, uczyła w szkole podstawowej na wsi pod Kołem. Wspaniała, pełna humoru kobieta.

Przez pięć lat pobytu w Żmigrodzie najstraszniejsze było wydarzenie. Masakra Żydów. Całe miasteczko pogrążone było w żałobie. Wywożono ich ciężarówkami.

Sąsiadami, z którymi utrzymywaliśmy kontakty nie tylko towarzyskie byli p.p. Gajewscy. On był piekarzem, prowadził zakład obok naszego sklepu. Dzięki jemu mieliśmy chleba pod dostatkiem. Zaaresztowano go i wywieziono do Dachau. Po wojnie wrócił zmaltretowany i wkrótce zmarł. Żona - Alfreda z domu Przybyłowska 19-letnia wyszła za mąż, by ratować się przed wywiezieniem do Niemiec. Pierwszym swoim uczuciem pokochała mojego najstarszego brata Edmunda z wzajemnością. Często grał dla niej przepięknie na skrzypcach.

Po pewnym czasie do Żmigrodu przyjechał Jerzy Tęsiorowski (miał tu rodzinę). Chłopcy zaprzyjaźnili się. Razem byli w Armii Krajowej. Ukończyli Konspiracyjną Szkołę Podchorążych. Zajmowali się kolportażem prasy. Brali czynny udział w akcjach.

Aby się utrzymać, Tadek wielokrotnie wyjeżdża po towar do sklepu. Często jeździł pociągiem w przedziale dla Niemców, wyciągał szwabską gazetę i wracał szczęśliwie nie legitymowany. Wiadomo, czym by się to skończyło.

Pod koniec miesiąca lipca 1944 roku przychodzi rozkaz wyruszenia do lasu. Są to przygotowania do powstania i trzeba pójść na pomoc Warszawie. Wiem, że pseudonim Mundka – „Czarny”, a Tadeusza „Skryty”. Za późno piszę te wspomnienia, nie mogę się skonsultować z Tadzikiem.

Nadeszła noc zgrupowania. Bracia pakują się, plecaki, trochę bielizny, jedzenia... Mama ostrzega, przygotowuje paczki. Zabierają broń, patrzę z rozszerzonymi oczami. Żegnamy się. Mamusia pyta czy Mundek wie czyje ma buty na nogach. Odpowiada twierdząco, będzie wiedział kogo pomścić (buty ojca).

Sierpień 1944 rok. Front coraz bliżej. Na przełęczy Dukielskiej walczą żołnierze radzieccy z niemieckimi. Widać czołgi.

Noc 23 sierpnia Mundzik pseudonim „Czarny” przyszedł z lasu na przepustkę. Dla bezpieczeństwa idzie nocować w mieszkaniu przy sklepie, zabiera mnie ze sobą. Przez ścianę mieszka Fredzia. Siedzimy w trójkę długo w noc. Mundzio jest smutny, pełen złowieszczych przeczuć, cudownie gra na skrzypcach. Wreszcie kładziemy się spać. Browning kładzie pod poduszkę. Po kilkunastu minutach potworny łomot w bramę. Słysząc okrzyki w języku niemieckim. Nie ulega wątpliwości - gestapo!!!

Przytomna Fredzia namawia Mundzia, by uciekał. Podsuwa mu kilka pomysłów: ogródek, krzaki, przeskok przez parkan do ogrodzenia kościelnego, wejście do pieca chlebowego w piekarni. Błagała go... Na nic...Leży „sparaliżowany” w łóżku. Tak go zastają gestapowcy. Słysząc ohydne odgłosy. Mają ze sobą Leszka, biją go. Nie wiem dlaczego.

Wchodzą do mieszkania. Świecą latarkami w oczy. Coś pytają, nie rozumiem. Mundzio się ubiera na rozkaz. Zabierają go. Cisza.....

Rano przychodzi zrozpaczona Mamusia. Dowiedziała się, że aresztowano 17-wg listy. Tadzik na szczęście jest w lesie. Podobno ktoś zdradził. Mama wraz z innymi kobietami (matkami) idzie pieszo do Jasła (18 km) wracają bez nadziei... Podobno ktoś widział, jak ich przewożą z więzienia gestapo. W jedną stronę siedzą na przyczepach motocyklowych, z powrotem leżą. Są ślady krwi. Ktoś widział Leszka bardzo pobitego. Zapytany z dumą odpowiedział- „nie powiedziałem”.

Potem dowiedzieliśmy się, że po trzech dniach 27 sierpnia nad ranem około 5-ej rozstrzelali ich na cmentarzu żydowskim w Jaśle.

Ile razy zadawałyśmy sobie to pytanie - dlaczego Mundziu nie próbowałaś uciekać? Genek Murawski zaryzykował w czasie aresztowania, gdy go prowadzili z domu i udało mu się. Żyje do dziś. 1989 roku- w 45 rocznicę rozstrzelania rozmawiałam z nim w Żmigrodzie razem z Władkiem.

Od tamtej nocy 23 sierpnia zaginęła wszelka wieść, pozostał tylko malusieńki cień nadziei, jakaś nikła wiara w cud.

Front coraz bliżej. Co noc bombardowanie. Śpimy w piwnicach. Miasteczko płonie. Po kolejnym nalocie w dzień wchodzimy na pierwsze piętro, otwieramy drzwi od naszego mieszkania - przepaść... sterta gruzów, wszystko zniknęło. Mieszkamy wyłącznie w piwnicach. Jesteśmy głodni, nie ma wody. Czasami się udaje wybiec na rynek do pompy. Któregoś dnia ktoś został zabity przy niej. Trwało to kilka tygodni. W końcu władze niemieckie podjęły decyzję ewakuacji ludności.

Niemcy są jednak konsekwentni, czujni. Sporządzają specjalną listę nazwisk rodzin poprzednio aresztowanych, podejrzanych o ruch oporu. Ludność Żmigrodu i najbliższych okolic ewakuują do Biecza, tu następuje segregacja. Kilkanaście rodzin zostaje odseparowanych i wysłanych specjalnym transportem do Niemiec, do Breslau.

Zapamiętałam: panią Walewską z córką Stasią (właścicielka apteki), żonę dr -a Rezacza z córkami, p.p. Zasuchów.

O Tadku nic nie wiemy. Ja z mamą znalazłyśmy się w obozie w Burgweide (dzisiejsze Sołtysowice we Wrocławiu), w pobliżu znajduje się cukrownia. Jest tu kilkanaście baraków, przeładowanych mieszkańcami powstańczej stolicy. Sceny z Apokalipsy - starcy, dzieci, młodzież. Ubrani różnorodnie, niektórzy w szlafrokach, inni w futrach, w podartych sukienkach...Jedni przerażeni, przestraszeni, inni pełni animuszu, wisielczego humoru. Dwa razy dziennie dostajemy jeść. Pierwsza porcja ranna to mała kromeczka chleba oraz do picia tzw. „kobyłak” (chyba były to jakieś zioła), druga wieczorna zupa rzadka, pomyjowata, i bardzo mała porcja. Wszyscy byli potwornie głodni. Ja dostałam anginy. Bardzo wysoka temperatura przyczyniła się do tego, że przez kilka dni nic nie jadłam. Mama oczywiście skrzętnie chowała te mizerne, suche kromki chleba, by potem dawać mi po kryjomu, posmarowane topionym masłem, które przywiozła ze sobą i trzymała ukryte w garnku. To mnie uratowało.

Jednego dnia nastąpił wybuch - huknęło tak potwornie, że wypadły resztki szyb. Okazało się, że huk ten pochodził z ubikacji. Niemcy sądzili, że wrzucano tam granaty. Szaleli...Zwołano nas wszystkich na plac. Oczom moim ukazały się dantejskie sceny, ludzie przerażeni, skuleni, opatuleni, niektórzy dosłownie w łachmanach albo w wieczorowych sukniach, nocnych koszulach, część z nich przytulała małe dzieci, psiaki, kociaki.

Pilnujące potwory w niemieckich mundurach wrzeszczeli, bili kogo popadło i żądali przyznania się sprawców. Specjalna komisja stwierdziła, że wybuch spowodowany był przeładowaniem ekskrementami, kloaka nie wytrzymała takiej ilości osób. Nagromadziło się tak dużo gazów, że eksplodowały.

Najgorsze były noce. Na niebie ukazywały się ogromne żyrandole, stawało się jasno. Promienistość ta poprzedzona była odgłosem samolotów i wyciem syren alarmowych. Nie mieliśmy możliwości zejścia do schronu, leżeliśmy na podłodze baraków, modląc się. Mamusia przykrywała mnie, a właściwie nakrywała pierzyną (cudem zabraną z domu), chroniła mnie przed przerażającym światłem oraz odłamkami. Były to conocne bombardowania

amerykańskie. Dawały one również nadzieję - albo zginiemy, albo będziemy wolni.

W tym piekle, w tym miejscu pełnym zła, tragedii, nieszczęść zawarłam największą przyjaźń mojego życia, która trwa do dziś, poznałam Sławę Łabanowską. Jak to było dokładnie, nie potrafię opisać. Jedno jest pewne, moja mama się nią zainteresowała. Była sama- prosto z powstania warszawskiego.

W obozie Pruszkowie rozdzielono ją z jej Mamą. Pochodziła z Grodna. Była córką kapitana wojsk polskich, a potem majora, miała brata Janeczka. Obydwaj przeszli gehennę wschodnią i razem z wojskami Andersa znaleźli się na zachodzie - walczyli o Monte Cassino, brat był ranny. Po wojnie nie wrócili. Major zmarł w Anglii, a Janeczek skończył studia, ożenił się z Polką i wychował trzech synów. Do dziś żyje i mieszka w Anglii. A Sława?

Wtedy w Burgweide miała 18 lat, była drobna, szatynka, opuszczona, ale dzielna. Niektórzy mówili, że jest bardzo podobna do mojej mamy.

W obozie krążyły wieści, że większość młodych ludzi wysyłają do fabryk zbrojeniowych do pracy. Chcąc uniknąć tego, mama wraz z dwoma paniami przekupiły straż niemiecką, by skierowali nas w bezpieczniejsze miejsce. I tak się stało. Znalazłyśmy się w Görlitz. Tu przyjechał po nas majster z tartaku, by nas zatrudnić w Alt Kohlfurt. Znalazłyśmy się tu w trójkę. Otrzymałyśmy mieszkanie w małym, opuszczonym domku, mała sionka, kuchenka z żelaznym piecykiem. W pokoiku znajdowały się dwa piętrowe łóżka, szafa, stół i taborety. Było zimno, nieprzytulnie. Zaczęłyśmy urządzać nasze mieszkanie. Sława nadrabiała humorem, śpiewała. Na drugi dzień miałyśmy iść do pracy i poszłyśmy. Był to najdłuższy dzień w moim życiu. Miałam lat 15. Pracowałyśmy na zewnątrz - na placu. Oprócz nas było trzech Ukraińców oraz sześciu starych Niemców - wszyscy sympatyczni. Była to spółka dwu właścicieli - jeden prowadził prace w warsztatach, drugi - w biurze. Jeden był chudy, wysoki, z bródką, drugi - gruby, okrągły, mały. O dziesiątej było śniadanie - wszyscy pili mleczną, słabą kawę oraz własne kanapki, my

cudzoziemcy dostawaliśmy jedzenie przygotowane przez panią majstrową. Była to właściwie jedyna zapłata. Pan majster bardzo mnie polubił. Czasami żartował, że chciałby, bym została jego synową po wojnie. Jedyne jego syn był na froncie.

W roku 1944 i to pod koniec Niemcy byli już innymi ludźmi. Umiałam liczyć do stu po niemiecku, dzięki temu brano mnie na ręce ustawiano na żerdzi desek i kazano wpisywać ołówkiem w specjalnym notesie odpowiednie pałeczki, dyktując w języku niemieckim. Miałam krótka, cienką spódniczkę, wiatr podwiewał mnie mocno, tam nabawiłam się dolegliwości korzonkowych. Pewnego dnia majster kupił mi spodnie, podobno za marki zarobione przeze mnie. Wszystko jednak było na kartki, ubrania też. Z czasem przyzwyczaiłyśmy się do pracy. Jedzenie otrzymywałyśmy trzy razy dziennie. Najlepsze było w Wigilię: sałatka z zimnych ziemniaków oraz serdelki. Protestanci nie przestrzegają postu w przeddzień Świąt Bożego Narodzenia.

Ukraińcy byli prymitywni, ale poprawni. Szybko zorientowali się, że muszą zachować dystans. Najsympatyczniejszy był Iwan Dubrownik. W niedzielę chodziliśmy cztery kilometry do Kohlfurtu do kościoła katolickiego. Modliliśmy się razem z Niemcami, nieraz uśmiechali się patrząc na nasze żółto- fioletowe oznaki „P”.

Któregoś dnia Mama dostała krwotoku i zabrano ją do szpitala do Górlitz. Operowano ją leżała na jednej sali z Niemcami. Jeszcze parę miesięcy wstecz było to niemożliwe, ale zaczął się rok 1945.

W pierwszą niedzielę pobytu Mamusi w szpitalu pojechałyśmy ją odwiedzić. Zobaczyłyśmy uśmiechniętą w łóżku, na wierzchu miała słowniczek polsko-niemiecki. Lekarze zainteresowali się bardzo żylakami, ale do zabiegu nie doszło. Opowiadała nam, że traktują Ją dobrze. Jedynie w czasie alarmu, kiedy znoszą wszystkich rannych na noszach do schronu, Mama niesiona jest jako ostatnia. Do domu wracałyśmy bardzo późno i musiałyśmy od pociągu iść 3 kilometry w kompletnej ciemności przez las. W pociągu poznaliśmy Francuza,

który nas odprowadził, a potem sam wracał, ogromnie się narażając. W tych potwornych czasach doświadczyliśmy serca ludzi obcych.

W czasie nieobecności Mamy przyjechał Tadzik. Oczywiście wiedziałśmy, że się wybierał. Nawiązaliśmy kontakt z nim dzięki Cioci Izabeli i on, i my pisaliśmy do Izbicy. Po wyjściu z lasu i zetknięciu się z wojskiem radzieckim załamał się. Rosjanie potraktowali ich jak wrogów. Zatrzymał się we Włoszczowej pod Częstochową. Po zdobyciu adresu postanowił do nas przyjechać. Było to wielkie ryzyko. Mama przysłała mu zapotrzebowanie do pracy w tartaku. Gdy nasz szef zobaczył młodego, przystojnego cudzoziemca w oficerkach (długich butach), eleganckich bryczesach, mówiącego po niemiecku, zażenowany odpowiedział, że nie ma dla niego pracy. Wówczas wyjaśnił mu, że przyjmie każdą pracę fizyczną, ponieważ chce być razem z mamą i siostrą. Odtąd w naszym domku na „kurzych łapkach” zamieszkaliśmy we czworo. Trwało to jednak krótko. Front był coraz bliżej. Wszyscy bali się Rosjan. Krążyły pogłoski o ich bezwzględności. Prawie wszyscy Niemcy uciekali. Kilkoro starych ludzi powiesiło się. Jednym z ostatnich wyjeżdżających był nasz majster z rodziną. Tuż przed wyruszeniem przyszedł do nas, zaproponował wprowadzenie się do jego domu, zgodziłyśmy się. Brat mój nie chciał po raz drugi zetknąć się z Sowietami. Po naradzie z mamą postanowił uciekać i pojechał rowerem. Odprowadziłyśmy go, płakaliśmy. Zniknął na szosie we mgle. Był luty 1945 roku.

Poszłyśmy spać. Późnym wieczorem obudzili nas niemieccy żołnierze, okopując się w ogródku. Nad ranem usłyszałyśmy odgłosy i odjazd. W parę minut potem walenie w drzwi. Sława krzyczy : „Wer da ?”, odpowiedź po rosyjsku - otwierajcie! Wpadło kilku frontowych żołnierzy radzieckich bardzo głodnych. Przynieśli kosz jajek i kazali sobie usmażyć jajecznicę. Razem jedliśmy śniadanie. Było bardzo niespokojnie. Zaczęłyśmy się zastanawiać czy nie uciekać. Nagle po krótkim pukaniu weszli frontowcy, oznajmiając nam, że musimy pójść do sztabu i wyrobić przepustki. Istniało stałe niebezpieczeństwo ,

że „wezmą nas za Niemki”. Toteż poszliśmy do wojskowego biura. Okazało się, że była to zwykła pułapka. Jeden żołdak wprowadził Sławę do pokoju, a drugi mnie pilnował, przykładając karabin do czoła. Czuć było zapach alkoholu. Trwało to kilka chwil. Za moment wpadł następny żołnierz i wszyscy równocześnie wybiegli, zostawiając nas. Drzwi się otworzyły i wyszła potargana, z podartą spódnicą Sława. Była zapłakana. Potem opowiedziała, że major zaczął ją szarpać i tylko cud ją uratował. Mama zaczęła sobie wyrzucać naiwność, ale przecież i tak by nic nie pomogło.

Na drugi dzień rano postanowiłyśmy uciekać stąd. Cały dobytek załadowałyśmy na ręczny wózek z małym dyszelkiem. Część naszych rzeczy, większość przywieziona przez Tadka z Polski, zakopałyśmy w ziemi. Do dziś pewnie zgniło.

Wędrowałyśmy cały dzień, śnieg leżał na drodze, ciągle były napisy po rosyjsku - objazd. Zaczęło się ściemniać. Postanowiłyśmy gdzieś się zatrzymać na noc. Wtem o zgrozo zauważyłyśmy, że jesteśmy w tej samej miejscowości. Na drugi dzień od początku wyruszyłyśmy w drogę. Tym razem bez błędzenia. Po całodziennej wędrówce znów szukałyśmy noclegu. Wszędzie puste domy. Ze strachu wybrałyśmy najskromniejsze lokum na uboczu, zapaliłyśmy małą świeczkę, postawiłyśmy na podłodze i stało się - rumor do drzwi, wchodzi kilku żołnierzy radzieckich. Zdrętwiałyśmy. Co teraz będzie? Wokoło front, pożary, obca ziemia i my trzy bezbronne kobiety. Jeden z wojskowych - starszy pan zaproponował nam nocleg u nich w sztabie, wyjaśniając mamie, że i tak nie dadzą nam spokoju. Zaufałyśmy mu. Poszliśmy razem, pomógł dźwigać toboły. Była to pora kolacji. Ugotowano ogromną gęś, w rosole znalazły się jakieś ziemniaki, jarzyny. W pomieszczeniu było kilkunastu wojskowych, wszyscy usiedli do stołu, zapraszając nas. Każdy miał w ręku łyżkę, nabierał nią ze wspólnej michy i tak jedli. Speszłyśmy się i mamusia wymyśliła, że weźmiemy własne garnuszki i nałożymy tego jedzenia do nich. Do dziś pamiętam smak rosółowej, brunatnej zupy. Na deser były słodkie suchary. Spać położyliśmy się

pokotem na podłodze, wkoło słyhać było głęboki oddech młodych ciał poprzykrywanych płaszczami wojskowymi. Co dwie godziny ktoś przekładał nogi w butach ponad naszymi głowami. Było ciepło, bezpiecznie, spokojnie, jak w bajce. Rano pomaszerowałyśmy dalej żegnane uśmiechami. Po kilku dniach zatrzymał nas wojskowy patrol, polecając pracę przy wojsku radzieckim. Nie pomogły tłumaczenia, że idziemy do ojczyzny (byłyśmy 18 km od Legnicy w Mühelsdorfie). Pracowało tam 18 osób, w tym trzech Włochów. Tu zorganizowano w dużym gospodarstwie poniemieckim coś w rodzaju sowchozu. Pozbierano kilkadziesiąt krów, które były pozostawione przez uciekających Niemców. Zwierzęta na pół dzikie, nie dojrzone od wielu dni, głodne, z chorymi wymionami. Nakazano nam je karmić, myć, czyścić, doić. Nie miałyśmy pojęcia o takiej pracy. Wkrótce nauczyłyśmy się. Przebywaliśmy tu pełne trzy miesiące od marca do końca maja 1945 roku. Jeść nam nie dawano, kazano się samemu zorganizować. Buszowaliśmy po opuszczonych domach, znajdując pozostawione resztki ziemniaków surowych, jarzyn, wecki itp. Najgorsze były noce. Pijani żołnierze wałęsali się, chcieli się zabawić. Kobiety drżały. Mama wpadła na pomysł i spałyśmy w jednym pokoju, tworząc przy drzwiach ogromną barykadę z krzeseł. Gdy chciał wejść jakiś żołnierz, spadające krzesła czyniły taki rumor, że przerażony uciekał. Czasami odwiedzali nas oficjalnie wojskowi, rozmawiali przy herbacie. Słuchali gry na fortepianie w moim wykonaniu albo jakiś oficer sam dawał koncert. Byłyśmy tam ponad 100 dni.

Zaprzyjaźniłyśmy się z Włochami, byli to Lino, Nino, Konstancio. Nino Mezzarola zakochał się we mnie. Często przynosił mi kwiaty. Miał 21 lat, w kraju studiował na Politechnice w Trieście. Był w partyzantce pod dowództwem Badoglia. Mama moja była zachwycona tym chłopcem - wysoki, szatyn, w okularach. Wszyscy trzej dostali się do niewoli niemieckiej. Nino codziennie wyznawał mi miłość, byłam zażenowana. Tłumaczyłam mu, że jestem strasznie młoda i nie chcę się z nikim jeszcze wiązać. Opowiadał, że w Italii 14-letnie dziewczynki wychodzą za mąż i jest to najodpowiedniejszy wiek.

Rozmawialiśmy trochę po polsku, trochę po niemiecku, a trochę po rosyjsku, którego ja zupełnie nie znałam.

Wziął mój adres izbicki i rzeczywiście dotrzymał słowa - przez dwa lata pisał, marząc o przyjeździe i zabranii mnie do Włoch. Były to jednak czasy, w których kontakt z zagranicą był prawie niemożliwy. Zresztą ja nie czyniłam prawie nic, by podtrzymać tę znajomość. Mama najczęściej dyktowała mi listy. On pisał po włosku, a ja po polsku. Dokładnie nie pamiętam, co dalej się stało, miał jakieś kłopoty, a potem było milczenie, którego ja nie przeżywałam, zajęta szkołą, pracą społeczną, a zresztą czułam się zbyt wielką patriotką i nigdy ani przez moment nie myślałam o wyjeździe z kraju, chociaż Nino kilkakrotnie mi się oświadczył. Chciał przyjechać do Polski.....

W czasie pobytu w Mühelsdorfie moja przyjaźń ze Sławą utwierdziła się i utrzymywała. Nauczyła mnie tylu patriotycznych piosenek, śpiewaliśmy codziennie. Byłyśmy często głodne do tego stopnia, zjadałyśmy zaledwie 2,3 kartofle przez cały dzień. Pamiętam śmiałyśmy się, że to pyszne pączki. Była to wielka zasługa Sławci, jej poczucia humoru, który nie opuszcza jej do dziś. Wszyscy traktowali naszą trójkę jako mamę z dwoma córkami. Kiedyś podsłuchałam plotkę, że Sława to córka, bo podobna do mamy (miała ciemne włosy), a ja to chyba przygarnięta żydówka (to, że blondynka i zupełnie nie podobna nie przeszkadzało plotkującym).

Którejś nocy na niebie ukazały się fajerwerki, huk wystrzałów, przerażone wyskoczyłyśmy, a nasz komendant wyjaśnił nam, że to koniec wojny. Do końca życia nie zapomnę uczucia, które mnie ogarnęło. Sześć pełnych lat czekałam na tę wieść, miała ona wywołać niewyobrażalną radość, szczęście nieprzemijające.

A tymczasem... jesteśmy z dala od kraju, co noc boimy się, budujemy barykady, ojciec zamordowany w obozie koncentracyjnym, nie wiadomo do końca, co się stało z chłopcami czy naprawdę żyją, a co z Tadzikiem?

A my z Mamą musimy doić ponemieckie krowy, wstawać na rozkaz, właściwie nic się nie zmieniło w naszej sytuacji, w dodatku polecenia otrzymujemy w

obcym języku. Zamiast cieszyć się, rozpłakałyśmy się -8maja 1945 roku. Na drugi dzień jednak, gdy spotkałyśmy żołnierza w polskim mundurze, znów zapłakałyśmy, ale tym razem ze szczęścia, chociaż miał orzełek bez korony. Od tej chwili ciągle myślałyśmy, jak się wydostać z tej przymusowej roboty i wrócić do kraju. Zaczęłyśmy chodzić z podaniami do sztabu, w końcu pod koniec miesiąca otrzymałyśmy zaświadczenie o wykonywanej pracy. Stałyśmy teraz przed problemem, jak pokonać przestrzeń ponad 200 km. Jeden z lotników radzieckich zaproponował przelot samolotem, oczywiście za odpowiednią łapówkę. Mama miała schowane trochę złotych przedmiotów, ale nie zaufała mu. Potem okazało się, że miała rację, był oszustem. Postanowiłyśmy iść pieszo. Było bardzo niebezpiecznie. Szosą wędrowało tysiące ludzi różnych narodowości w różne strony, obarczeni walizkami, tobołami. Kontrole żołnierzy radzieckich zabrali nam rower i zrabowali akordeon Tadeusza jako mienie polskie. Resztę mienia wpakowałyśmy na drewniany wózek. Szliśmy 8 dni, czasami wspomagane byłyśmy wozem, który ciągniony przez jednego konia p.p. Olejniczaków, poznanych podczas wędrowki. W Turku rozstaliśmy się z nimi. Ostatni etap do Koła pokonałyśmy dość szybko. Nareszcie postanowiłyśmy odpocząć i zanoć u wujka Raszewskiego, mamy brata. Gdy ujrzała nas rodzina po przeszło pięciu latach, płakaliśmy. Było to uczucie radości, a równocześnie żalu, że nie wszyscy przeżyliśmy.

Do Izbicy pojechaliśmy już "ciuchcią". Tu czekała na nas ciocia Iza, Oleńka i mały Włodek. Trudno opisać wrażenia, znów łzy. Obie siostry od śmierci swych mężów nie widziały się. Na spotkanie czekały sześć lat. Ciocia przeprowadziła się do naszego domu, chcąc ratować mienie. Niestety niewiele udało się zatrzymać. Całą wojnę mieszkała tu liczna rodzina niemiecka (przyjechali z Wołynia), prowadzili sklep z artykułami przemysłowymi. Gdy oni opuścili dom, Polacy zaczęli grabić, między innymi większość rzeczy zabrali nasi przedwojenni lokatorzy, nie sposób było coś odzyskać. W rezultacie zostało

trochę starych mebli oraz w dawnej pralni kilka dużych beczek kolorowych farb do malowania ścian. To było wszystko. Mama była odporna na tego rodzaju straty, wydawało jej się to zupełnie nieważne. Ciocia z rodziną zamieszkała obok (w sąsiednim domu), a my zajęłyśmy parter naszej kamienicy. Były to trzy pokoje i lokal sklepowy. Ten ostatni wynajęłyśmy spółdzielni, było to jedyne źródło utrzymania. Nie muszę zaznaczyć, jak się czuła Mamusia. Cały czas chodziła w żałobie (ponad 10 lat), twierdziła, że nigdy nie zdejmie czarnych sukienek. Nie spała nocami. Często budziłam się i widziałam ją rozpaczającą albo modlącą się. Wstydziła się, że żyje (jej słowa). Właściwie to nie wiem, z czego żyłyśmy i za co. Nieraz odwiedzał nas ktoś z rodziny i każdy przywiózł coś do jedzenia. Mamusia nie była w stanie myśleć o żadnej pracy zawodowej. Sława czekała na list od swojej mamy, po otrzymaniu wyjechała do Warszawy.

Zakończył się drugi etap mojego życia (pierwszy - do 1939 roku, następny do 1945). I co dalej? Przestałyśmy się bać łapanek, wysiedleń, gestapo... Zostały koszmarnie noce, podczas których zrywałam się krzycząc - Rosjanie idą! Tak było przez kilka miesięcy. Mama odbywała jedynie spacery na cmentarz. Czekala na wiadomość od Tadzika.

Postanowiła dotrzeć do Jasła, by raz jeszcze zapłakać na wspólnej mogile tragicznie rozstrzelanych. W czerwcu odbyła się ekshumacja (bez naszego udziału). Zaczęła marzyć o sprowadzeniu szczątków obu synów do Izbeckiego



**Grobowiec
rodzinny**

cmentarza.



Tadeusz w strefie amerykańskiej w kompanii wartowniczej



Któregoś

dnia przyszła wiadomość od Tadeusza, że jest w Norymberdze. Pisał, że pracuje jako tłumacz języka angielskiego, jest w kompaniach wartowniczych, umundurowany (granatowe sorty, bez broni). Wspominał, że dostał list od cioci Marty Szumiak z Detroit, przysłała mu zaproszenie i chciała koniecznie go zabrać do Stanów. Nie zgodził się na wyjazd. Swój powrót do kraju uzależniał od decyzji Mamy, ale Ona nie czyniła żadnego nacisku. Nie wiadomo było, jak się zachowają Sowieci czy nie będzie jakichś represji ... W grudniu 1946 (w moje imieniny) przyjechał.

Wieczorem 4 grudnia pobiegłam na stację wąskotorowej kolejki, by zobaczyć młodego człowieka prowadzącego „ciężki” motor marki Zindapp. Nie muszę zaznaczać ani opisywać, jakie to było powitanie...

Cała trójka zamiast cieszyć się - płakała...

Po sześciu latach tułaczki zamieszkaliśmy znów w rodzinnej Izbicy Kujawskiej. A gdzie są pozostali członkowie rodziny?

Gdzie Ojciec?

Gdzie Edmund?

Gdzie Leszek?

Oczywiście represje były (zgodnie z przewidywaniem), ale o tym i dalszych losach opowiem w drugiej części wspomnień.

Aneks:

1. List z obozów koncentracyjnych Dachau,



Mathausen.

- Listy (4) strony skanowane z oryginału
 - 1-30 VI 1940 rok strona....44
 - 2-16 VII 1940 rok strona....45
 - 3-10 VIII 1940 rok strona....46
 - 4- 1 XII 1940 rok strona....47

2. Wyciąg z dokumentów PCK.....strona 48
3. Anmeldung zur polizeilichen Einwohnererfassung.....strona 49-50
4. Pomnik Partyzantów- Jasło.....strona 51
5. Wspomnienie Izbica.....strona 52

Gusen

Konzentrationslager Mauthausen
Oberdonau

Folgende Anordnungen sind beim Schriftverkehr mit Gefangenen zu beachten:

- 1.) Jeder Schutzhaftgefangene darf im Monat zwei Briefe oder zwei Karten von seinen Angehörigen empfangen und an sie absenden. Die Briefe an die Gefangenen müssen gut lesbar mit Tinte geschrieben sein und dürfen nur 15 Zeilen auf einer Seite enthalten. Gestattet ist nur ein Briefbogen normaler Größe. Briefumschläge müssen ungefüllt sein. In einem Briefe dürfen nur 5 Briefmarken à 12 Pfg. beigelegt werden. Alles andere ist verboten und unterliegt der Beschlagnahme. Postkarten haben 10 Zeilen. Lichtbilder dürfen als Postkarten nicht verwendet werden.
- 2.) Geldsendungen sind gestattet, doch ist dabei genau Name und Vorname, Geburtsdatum, Häftlingsblock und Stube anzugeben.
- 3.) Zeitungen sind gestattet, dürfen aber nur durch die Poststelle des K.L. Mauthausen bestellt werden.
- 4.) Pakete dürfen nicht geschickt werden, da die Gefangenen im Lager alles kaufen können.
- 5.) Entlassungsgesuche aus der Schutzhaft an die Lagerleitung sind zwecklos.
- 6.) Sprecherlaubnis und Besuche von Gefangenen im Konzentrationslager sind grundsätzlich nicht gestattet.

Alle Post, die diesen Anforderungen nicht entspricht, wird vernichtet.
Der Lagerkommandant.

Meine Anschrift:

Name: *Doroszewski Sigmund*
geboren am: *17. 8. 1895* Nr. *8684*
Block: *5* Stube: *A*

Gusen 1. XI. 1940.
Mauthausen, den

Meine liebe Frau in

Reinhard!

Teile dir mit, daß ich

geteufelt und verflucht bin und
geheim bin. Mit dir auf meine Hofstadt blick
forst noch kein Brief bekommen. Gleichzeitig teile
dir mit, daß ich 1 Miniergeschwür 1 kg mit
Antibiotikum neuprinogen darf zwischen 10.
17. XI. 40. Nach fünf glücklichen Tagen
und Anfang 1941. (und) (und) (und) (und) (und)

M. Guden
Poststelle
zentriert



POLSKI CZERWONY KRZYŻ

ZARZĄD GŁÓWNY

BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ

Nr. B. Inf. 43021/P

Konto w NBP IV Oddział Miejski
Nr 1049-4444-132

21 PAŹ. 1993

Warszawa, dnia 197 .. r
Mokotowska 14. Tel. 28-52-01
Adres pocztowy 00-950 Warszawa, skrytka poczty Nr 47

Odpowiedź na pismo

Nr z dnia

WYCIĄG Z DOKUMENTÓW -po uzyskaniu
informacji.

Nazwisko **D A R O S Z E W S K I** ----- Imiona **ZYGMUNT** -----
Data urodzenia **17.10.1895r.** ----- Miejsce urodzenia **Wólka Komorowa** -----
Imiona rodziców **Szczepan, Franciszka** ----- Zawód **kupiec** -----
Ostatni adres : **Mühlenthal, pow. Warthbrücken** ----- Stopień
i przydz. wojsk. -----
Data aresztowania ----- w ----- przez -----
Data przekazania **6.5.1940r.** ----- z -----
Do obozu konc. **Dachau** ----- przez -----
Numer więźnia **8684** ----- kategoria więźnia **"Schutzhaft"** -----
Przeniesienia **Dnia 2.8.1940r. do obozu konc. Mauthausen komando Gusen,**
numer więźnia 6098.

Ostatnia wzmianka
w dokumentach: **Dnia 29.12.1940r. zmarł w obozie konc. Mauthausen**
komando Gusen.
Jako przyczynę zgonu podano: zapalenie płuc.

Uwagi: **Dnia 10.11.1939r. został uwięziony w jednym z więzień o nieustalonej**
miejsowości.

Podstawa: **L.str. PCK-78098**

Adresat: Pani

Krystyna Barbara CIEMNY
ul. Czarnieckiego 76/1

53-627

Wrocław



Kierownik Biura
Informacji i Poszukiwań
Elżbieta Rejz

zał. 1-zaśw. z MBP Arolsen.

„Zespół” z. 780 - 30,000

Anmeldung zur polizeilichen Einwohnererfassung

Vor Ausfüllung die Erläuterungen
auf der Rückseite lesen!

Zgłoszenie celem policyjnego stwierdzenia ludności

Czytajcie przed wypełnieniem
objaśnienia odwrotnej strony!

Wohnort und Wohnung Miejsce zamieszkania i mieszkanie

Kreis (Powiat): Wartburgkreis
Gemeinde (Gmina): Mühlental
Ortschaft (Miejscowość): Mühlental
Straße und Hausnummer: Heinrichstr.
Ulica i nr. d.

- Familiennamen (Nazwisko): Daroszewski
(Bei Frauen auch Geburtsname und gegebenenfalls Name aus der letzten früheren Ehe)
(u zameżnych kobiet również nazwisko pannie i w danym wypadku ostatnio-wdowie)
- Rufname (Imię): Sygmund
- Geburtsort (miejsce urodzenia): Wielka Br. Wartburgkreis
(auch Gemeinde und Kreis) (möglich auch gmina i powiat)
- Geschlecht:*) männlich, weiblich
Płeć:*) męska, żeńska
- Familienstand:*) ledig, verh., verw., gesch.
Stan cywilny:*) wolny-na, żonaty-zameżna,
wied-wdowa, rozwodzony-rozwódka
- Religion (Wyznanie): Katholisch
- Volkszugehörigkeit: Polen
(Narodowość)
- Welche Sprache sprechen Sie zu Hause?
Który język, mówi się w domu? polnisch
- Seit wann sind Sie im neuen Reichsgebiet wohnhaft?
Od którego czasu mieszka W. P. na nowym obszarze Rzeszy? geburt
- Haben Sie in der polnischen Armee gedient?
Czy WP. służył w armii polskiej? nein Dienstgrad?
Rang służbowy:
- Beruf (Zawód): Kaufmann
(genaue Angabe der Berufstätigkeit und Angabe, ob selbständig, Angestellter, Arbeiter usw.)
(dokładne podanie czynności zawodowej i czy samodzielnym, funkcjonariuszem, robotnikiem i t. p.)
- Sind Sie Eigentümer, oder Miteigentümer eines Ge-
schäftes? ja
Czy WP. właścicielem lub współwłaścicielem interesu?
eines Hauses (kamienicy)? ja
von Land (gruntu)?
- Nur für Familien- und Haushaltungsvorstände:
Tylko dla głów rodzin lub gospodarstw domowych:
Zahl der im Haushalt lebenden Kinder unter 12 Jahren: 1
Ilość dzieci poniżej 12 lat żyjących w gospodarstwie
domowym:

*) Nichtzutreffendes ist zu
durchstreichen.
*) Niedotyczące przekreślić.

Raum für Stempel oder Stempelmarke.



Fingerabdruck (dalszka)



und
Unterschrift des Gemeldeten:

Sygmund Daroszewski
podpis zgłoszonego:

Erläuterungen.

1. **Zu Frage 6** Maßgebend für die Eintragung ist die rechtliche Zugehörigkeit zu einer Kirche oder Religionsgesellschaft; für Personen, die keiner Kirche oder Religionsgesellschaft angehören, ist je nach Ihrem Bekenntnis »gottgläubig« oder »glaubenslos« einzutragen.
2. **Zu Frage 7** Anzugeben ist das Volk, dem der einzelne sich innerlich verbunden fühlt und zu dem er sich bekennt; das Bekenntnis muß allerdings durch bestimmte Tatsachen, wie Sprache, Erziehung, Kultur usw. bestätigt werden und darf nicht im Gegensatz zu dem bisherigen Verhalten stehen.
Für Kinder unter 16 Jahren ist die Volkszugehörigkeit des Erziehungsberechtigten bestimmend. Bei Juden ist als Volkszugehörigkeit stets »jüdisch« anzugeben, auch wenn sie nicht der jüdischen Religionsgemeinschaft angehören.
3. **Zu Frage 8** Bei Angabe der Sprache ist nicht der Ausdruck »hiesige« Sprache zu verwenden. Die Sprache muß genau bezeichnet werden, z. B. Deutsch, Polnisch, Ukrainisch, Litauisch, Tschechisch, Weißruthenisch, Masurisch, Kaschubisch, Slonzakisch, Jiddisch usw.

Beide Teile der Anmeldung sind möglichst mit Tinte oder Schreibmaschine auszufüllen. Schreibungswandte können die Scheine von anderen ausfüllen lassen, bleiben aber für den Inhalt verantwortlich. Namensunterschrift und Fingerabdruck sind erst bei Abgabe der Meldescheine zu leisten.

**Falsche Angaben werden bestraft,
ebenso die Unterlassung der Anmeldung!**

Diesen Ausweis hat der Militär dauernd bei sich zu führen.

Objanienia.

1. **Do pytania 6:** Dla wypełnienia miarodajna jest przynależność do pewnego kościoła lub towarzystwa wyznaniowego; u osób nie należących do żadnego kościoła lub towarzystwa religijnego należy według ich zeznania wpisać »pobożny« lub »bezbożny«.
2. **Do pytania 7:** Podać należy ów naród, do którego zgłaszający się czuje najbardziej przychylnym i do którego się przyznaje; to przyznanie należy jednak zatwierdzić pewnymi faktami, jak język, wychowanie, kultura i t. p., i nie wolno, by dotychczasowe zachowanie się zgłaszającego stało w sprzeczności z tymi faktami lub jego zeznaniem.
Narodowość dzieci poniżej lat 16 ustanawia opiekun prawny.
U żydów zawsze należy podać narodowość »żydowską«, a to nawet w wypadku ich nieprzynależności do żydowskiego towarzystwa wyznaniowego.
3. **Do pytania 8:** Podając język nie należy podać »tutejszy«, lecz dokładnie oznaczyć, czy n. p. niemiecki, polski, ukraiński, litewski, czeski, białoruski, mazurski, kaszubski, ślązacki, żydowski i t. d.

Całą treść niniejszego druku wypełnić należy możliwie atramentem lub maszyną do pisania. Nie wolno przebić kalką. Dla słabo piszących osób wypełnia ktoś inny; od treści jednak odpowiada zgłoszony. Podpis i odcisk palca należy przyprawić dopiero przy oddaniu blankietu meldunkowego.

**Zeznania fałszywe podlegają karze,
jak również nieoddanie/wypełnione zgłoszenia!
Niniejszy dowód należy zawsze posiadać przy sobie.**

9691 39 20





Nic nie trwa wiecznie... okruch wspomnień zostaje.

